



Zaufanie – przeciw polskiej traumie

Z profesorem Piotrem SZTOMPKĄ rozmawiają Irena JANOWSKA-WOŹNIAK i Lech M. NIJAKOWSKI

– Choć już wcześniej wydał Pan po angielsku pracę o zaufaniu („Trust: A Sociological Theory”), postanowił Pan napisać ją na nowo po polsku. Dlaczego powstała nowa wersja tej książki?

– Z dwóch powodów. Pierwszy to ten, że refleksja socjologiczna nad zaufaniem nabrała w świecie ogromnego tempa i bardzo się ostatnio rozwinęła. Jeszcze w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych była to stosunkowo nowa dziedzina socjologii, a obecnie właściwie niemal co roku ukazuje się kilka ważnych prac na ten temat. Moja angielskojęzyczna książka o zaufaniu opublikowana została już osiem lat temu. Od tego czasu i mnie przybyło sporo nowych przemyśleń, bo interesowałem się nadal zagadnieniem, i pojawiło się bardzo dużo nowych źródeł. To wszystko wymagało uwzględnienia. Drugi powód polega na tym, że w angielskim wydaniu był rozdział, którego nie mogłem powtórzyć w polskiej edycji – o kondycji zaufania w Polsce w okresie transformacji po roku 1989. Rozdział oparty – wyjątkowo, bo jestem raczej teoretykiem – na moich własnych badaniach, jakie przeprowadziłem w latach 1995–97. Wynikało z nich wówczas, że po znacznym spadku zaufania społecznego bezpośrednio po roku 1989, w kolejnych latach

następuje wzrost optymizmu. Wyraźne odbicie nastąpiło w połowie lat dziewięćdziesiątych. Moje badania pokazywały, że mamy do czynienia z przewyciężeniem kryzysu transformacji, że rzeczy idą w lepszym kierunku. Rosło zaufanie do instytucji, demokracji i systemu rynkowego, słowem – różne wskaźniki wyglądały zachęcająco. I na podstawie tych danych pokuśiłem się o optymistyczną prognozę, że konsolidacja demokracji i kapitalizmu w Polsce będzie postępować. Ta prognoza jest jedną z kilku, które w życiu sformułowałem, i we wszystkich przypadkach się pomyliłem. Pocieszam się tym, że na pewnym poziomie zjawisk społecznych, zwłaszcza wielkich procesów historycznych, wszelkie przewidywanie jest karkołomne i nie udaje się najwybitniejszym futurologom. Tak więc, wracając do tematu, proste przetłumaczenie tego rozdziału byłoby nieuzasadnione. Ponieważ nie mam własnych badań odnośnie do tego kryzysu zaufania, jaki nastąpił mniej więcej od końca zeszłego stulecia, kryzysu naprzód odziedziczonego po rządach AWS, potem SLD, a dzisiaj jeszcze pogłębionego przez idee IV Rzeczypospolitej, nie mogłem też modyfikować tej części pracy. Dlatego zdecydowałem się na książkę czysto teoretyczną. Dlaczego teoretyczną?

Mam swój własny pogląd na praktyczność mojej dziedziny. Nie podzielam stanowiska, że socjologia ma polegać na badaniach empirycznych i podawaniu do publicznej wiadomości, że tytu a tytu mamy przestępców, a taki jest wskaźnik korupcji czy czego innego. Tym, czego ludzie naprawdę chcą i potrzebują, przynajmniej ludzie wykształceni, a demokracja dąży przecież do społeczeństwa ludzi wykształconych, jest uporządkowanie chaosu zjawisk w życiu społecznym. Opanowanie zaś tego chaosu, którym nieustannie bombardują nas media, rozmowy, obserwacje życia codziennego, wymaga pewnej pojęciowej i teoretycznej siatki. Jeśli popatrzymy choćby na artykuły prasowe z ostatnich dwóch lat, przypomnimy sobie debaty polityczne, okaże się, że temat zaufania przewija się w nich niezwykle często. Także zresztą w potocznych dyskusjach. Zarazem zaufanie społeczne to tak skomplikowane zjawisko, że warto, aby ludzie mogli sobie pewne elementy tej wiedzy socjologicznej przyswoić. Rozszerzyć własne rozumienie społeczeństwa. Dlatego, mimo że moja książka jest teoretyczna, nie sądzę, żeby tylko do socjologów była adresowana. Mam też nadzieję, że przynajmniej w pewnym stopniu przyczyni się do uporządkowania pojęć, będzie miała jakiś wpływ na wiedzę i postawy jej czytelników.

– *Jeśli zaufanie jest fundamentem społeczeństwa, to – trzymając się tej metafory – bez zaufania porządek społeczny się zawali. Czy dlatego właśnie działanie oparte na zaufaniu jest tak ważnym elementem kształtowania porządku społecznego?*

– Zaufanie ważne jest na wszystkich poziomach życia. Już na tym elementarnym, jakim jest rodzina, relacje intymne, stosunki przyjacielskie, nawet w gronie współpracowników, w zespołach skupionych wokół pewnego zadania, biznesu – we wszystkich tych relacjach jest niezwykle ważne, aby były oparte na zaufaniu. Wiemy, co się dzieje z rodziną, czy z każdym związkiem opartym na miłości, kiedy tam załamuje się zaufanie. Gdy okazuje się na przykład, że partner jest niewiarygodny albo niełojalny. Niesłuchanie szybko ten mikroporządek rodziny się rozpada. Na wyższych piętach życia społecznego rzecz jest bardziej skomplikowana, ponieważ istnieją inne mechanizmy pozwalające ten porządek utrzymywać – na przykład władza. Jeżeli jest ona efektywna, twarda, bezwzględna, może w jakimś stopniu utrzymać ludzi w ryzach i zapewnić trwanie jakiegoś ładu. Ludzie nie będą łamali zobowiązań, które nawzajem wobec siebie mają. Ale to jest substytut zaufania – niesłuchanie przy tym kosztowny. Jeśli system zostanie oparty tylko na kontroli, bardzo wielu ludzi się zbuntuje, „na złość”. Będą szukali luk, a znajdują je natychmiast, bo żaden system nie jest w stanie, z wyjątkiem jakichś Orwellowskich utopii, wszystkich skontrolować. Ponadto taki system kontroli odgórnej, nawet założony, że idealnej, zakłada, że są tacy ludzie, którzy wiedzą, jak życie społeczne powinno być zorganizowane, i jest reszta – wykonawcy jedynie słusznych idei. Społeczeństwo masowe zostaje ubezwłasnowolnione.

Otóż to jest zaprzeczenie całej idei demokracji. Idea demokracji polega właśnie na tym, że potencjał myślenia, innowacyjności, nowoczesności, pomysłowości, przedsiębiorczości pochodzi od wszystkich obywateli. Sytuacja, w której zamiast zaufania ma występować kontrola, powoduje, że ten potencjał spontanicznego zaangażowania ludzi jest przytłumiony albo w ogóle zanika, a ludzie się wycofują na margines. Brak zaufania prowadzi – o czym piszę w tej książce – do szukania jeszcze innych substytutów. Oprócz władzy, o której mówiliśmy, pozostaje korupcja. Cóż,

jeżeli nie mogę liczyć na to, że ktoś inny będzie spełniał swoje obowiązki właściwie, czyli nie będzie realizował moich interesów, czego mam prawo oczekiwać – na przykład, że lekarz mnie dobrze wyleczy, że sędzia będzie sprawiedliwie wydawał wyroki – to co mogę zrobić? Daję łapówkę. To znaczy kupuję owego urzędnika lub wykonawcę. Głosi się czasami pogląd, że to korupcja jest przyczyną takiego załamania zaufania, jakie obserwujemy. Sądzę jednak, że korupcja się rozpleniła, gdyż nastąpiło załamanie zaufania. Zresztą zależność jest obustronna – obie tendencje wzajemnie się napędzają. Pamiętajmy przy tym, że układ korupcyjny, lub jakikolwiek inny tego rodzaju, też wymaga zaufania. Tylko że jest to inne zaufanie, oparte na wykluczeniu. Na zaufaniu tylko do swoich, do członków „mojej” grupy, „mojego” układu, „mojej” mafii, ale – niestety – również „mojej” partii. Jest to zaufanie zamknięte, ekskluzywne, które prowadzić może do bardzo negatywnych konsekwencji.

– *Jesteśmy na ostatnim miejscu w UE jeśli chodzi o zaufanie do współobywateli. Jakie dostrzega Pan konsekwencje tego stanu rzeczy?*

– Z braku zaufania do systemu, do demokracji, ale także do kolejnych elit, które w opinii obywateli się nie sprawdziły, wynika absencja wyborcza. Został podważony w oczach ludzi sam mechanizm demokratyczny. Nasi rodacy utracili zaufanie do polityki i pośrednio do demokracji. A demokracji nie może być, kiedy wciąż funkcjonuje podział: my i oni. Jeżeli taka właśnie relacja występuje pomiędzy masami społecznymi a elitami politycznymi, to oczywiście, że zaufanie się załamuje. Po drugie, efektem jest nostalgia za przeszłością. Gdy ludziom doskwiera brak zaufania w danej sytuacji, idealizują przeszłość. Sięgają do czasów, kiedy było inaczej, spokojniej, nie było nieustannych sporów politycznych. Ale tkwienie w przeszłości niczego dobrego nie przynosi. Ludzie się znów zamykają w swoich rodzinach, w pracy. Brak zaufania skutkuje niewywiązywaniem się z obywatelskich obowiązków, jak choćby płacenie podatków. W świecie ustabilizowanych demokracji istnieje coś takiego, jak moralność podatkowa. Państwo właściwie zorganizowane, które wypełnia oczekiwania obywatela, daje mu sprawne urzędy, dobre drogi, poczucie bezpieczeństwa, dumę na forum międzynarodowym – łatwiej zbiera podatki. Obywatele mają poczucie, że ich pieniądze są należycie wykorzystywane, a zatem, że mają też obowiązek rzetelnego płacenia podatków. Jak jest u nas – każdy widzi. Co zadziwiające jednak, w Polsce występuje zagadkowy dysonans pomiędzy rozwojem gospodarki a innymi wskaźnikami. Z gospodarką jest przecież w miarę dobrze, chociaż ekonomiści twierdzą, że to jest odłożony efekt wcześniejszych reform i koniunktury w świecie.

– *Czy to są również przyczyny wyjątkowo złego stosunku Polaków do demokracji? W „Diagnozie społecznej” z tego roku podano, iż jedynie 24 proc. Polaków uznaje, że demokracja ma przewagę nad wszelkimi innymi formami rządów, przy czym, co podkreśla prof. Janusz Czapiński, nie mierzone stosunku do faktycznej demokracji, rzeczywistych procedur w Polsce, tylko do ustroju ujmowanego abstrakcyjnie.*

– Widzę w tym raczej symptomy niż przyczyny. Powody są głębsze, o których w swojej akurat książce nie piszę. Odwołać się tu muszę do mojej szerszej koncepcji społeczeństwa po roku 1989. to znaczy traumy kulturowej i społecznej, jaka stała się naszym

działem. Pisałem o tym szerzej za granicą, a w Polsce w małej książeczce opublikowanej przez Instytut Studiów Politycznych. Otóż ta koncepcja opiera się na przekonaniu, że nasze wejście w ustrój demokratyczny i rynek w roku 1989 spowodowało u bardzo wielu ludzi szereg po sobie następujących przeżyć o charakterze traumatycznym. Ja używam tego terminu metaforycznie, dla określenia wstrząsu w zakresie mentalności, przekonań, uznanych wzorów życia, wzorów kulturowych. Po 1989 roku wcześniejsze, latami nabywane i utwalane zasoby przekonań okazały się nieskuteczne. Realny socjalizm narzucał choćby postawę publicznej bierności, ukrycia się w strefie prywatnej, gdzie zresztą można było całkiem wygodnie żyć. Ta postawa w społeczeństwie demokratycznym jest nieadekwatna do potrzeb, w gruncie rzeczy niszczy demokrację. Inny przykład: poczucie bezpieczeństwa. Kiedyś istniało bezpieczeństwo pracy, bezpieczeństwo socjalne – na niskim poziomie, ale pewnym. A tu nagle pojawiło się ryzyko – że się straci pracę, że się nie uzyska awansu zawodowego. I wielu ludzi dotyka właśnie taka trauma. Nagle zaczynają być na swoim, zaczynają odbierać z otoczenia sygnały, że muszą odnieść sukces. Sukces materialny, zawodowy staje się obowiązkiem. Ktoś, kto nie odnosi sukcesu, wypada z gry. Już ten moment stał się powodem pierwszej traumy. Po niej nastąpiła trauma następna. Wynikająca z tego, że wielkie reformy dają zawsze negatywne uboczne konsekwencje. Powiększa się przestępczość, obniża się dla wielu rzeczywistość, a nie tylko relatywny poziom życia. Poza tym nagle zaczynają nas otaczać ludzie sukcesu – z drogimi autami, rezydencjami. A więc również relatywnie czujemy się ubożsi. Nastąpiło bezrobocie – doświadczenie wcześniej nieznanne. Wreszcie pojawiła się trzecia trauma. Mianowicie nasze elity, przynajmniej pierwsze, solidarnościowe, były wspaniałe w walce, ale mniej skuteczne w rządzeniu. Późniejsze ekipy zaś, które miały inne korzenie, wykazały albo nieudolność w samodzielnym rządzeniu państwem, albo wręcz dość cyniczne pojmowanie interesów własnych, jakie mogły za pomocą polityki realizować. Pod względem kompetencji i moralności przestały się sprawdzać. Destrukcyjny skutek tych procesów zwiększał się przez fakt, że ludzie jednak zawierzali przemianom. Ich rozczarowanie było tym większe. Na gruncie tej zbiorowej traumy zrodziła się, jako odpowiedź na wszystkie wcześniejsze negatywne zjawiska i tendencje, koncepcja IV Rzeczypospolitej. Miała ona uspokoić frustracje i poczucie zawodu demokracją. Przez propagandę realnego socjalizmu byliśmy latami przyzwyczajani uważać demokrację czy kapitalizm za coś złego. Tym łatwiej przyszło naszemu społeczeństwu wrócić do tamtych ocen. Demokracja była na początku przedmiotem nadziei. Tym, co wreszcie nam da dobrobyt – umożliwi „drugą Szwecję”, „drugą Japonię”. A tu taki zawód. I stąd wycofanie poparcia dla demokracji.

– *Panie Profesorze, mówił Pan o sinusoidzie nieufności i zaufania. Chcielibyśmy, mimo wszystko, poprosić Pana o próbę prognozy. Czy po tej traumie, w trakcie której wciąż chyba jesteśmy, buduje się już jakaś nowa tożsamość kulturowa? Jak daleko nam do niej? Co przeszkadza jej rodzeniu się w naszym społeczeństwie?*

– Byłem i jestem optymistą, zarówno z przekonania, jak i ze strategii życiowej, którą polecam również w szerszym wymiarze jako strategię społeczną. Otóż wygrać można tylko wtedy, gdy się wierzy, że się wygra. Wierzę, że my się z tego wszystkiego wykaraskamy i że nasze traumy są zjawiskami przejściowymi,

poniekąd koniecznymi, ale też niecałkowicie, gdyż spowodowanymi ludzkimi słabościami. Wierzę w dobry skutek zmiany generacyjnej. Nowe pokolenie, które dzisiaj dochodzi do dorosłości, jest znacznie mniej obciążone traumami, bo jego socjalizacja następowała już w ramach systemu nowoczesnego, rynkowego i demokratycznego. Ono łatwiej sobie poradzi. Po drugie, ci młodzi ludzie stali się obywatelami czegoś więcej niż polskiego zaścianka – obywatelami Europy i świata. Oni żyją w innym świecie. Takim, który wymusza inne myślenie. Zetknęli się z głęboko utwalonymi demokracjami i dobrze prosperującymi systemami rynkowymi. Nieszczęście tylko polega na tym, że mając tę świadomość, młodzi czują, że muszą szukać swoich szans poza Polską. Wyjeżdżają najlepsi, najbardziej umotywowani, sprytni, zaradni. Jako imigranci zasilają swoją energią inne kraje.

– *Ale to pogłębia ów deficyt kapitału obywatelskiego, o którym Pan pisze w swoich pracach publicystycznych. To na czym opiera Pan swój optymizm?*

– Na tym, że prędzej czy później generacja polityków przepełnionych obsesjami i kłopotami życiowymi musi zejść ze sceny i ustąpić miejsca tej nowej fali. Zmiana pokoleniowa nastąpi również na poziomie władzy. Obieralnej władzy. To, że mamy społeczeństwo wolne, społeczeństwo pluralistycznych mediów, że nastąpił ten niesłychany boom edukacyjny, sprawia, że jesteśmy społeczeństwem coraz mądrzejszym. A społeczeństwo coraz mądrzejsze będzie podejmować autonomiczne decyzje, oparte nie na odruchach, nagłych wrażeniach, tylko na przemyśleniach. Dlaczego nasze prognozy wyborcze tak rozmijają się z wynikami? Nie dlatego, że socjologowie są niedokszałceni – badania robione są według najlepszych światowych reguł. Są nietrafne dlatego, że to społeczeństwo jest znerwicowane. Zmienia swoje zdanie pod wpływem drobnych incydentów. Polskie społeczeństwo nie ma trwałych poglądów – z wyjątkiem grup, o których mówimy „żelazny elektorat”. Wszystkie aktualne diagnozy społeczne, nawet mocno pesymistyczne, nie oznaczają mimo wszystko, że na dłuższą metę nie idziemy w dobrym kierunku. Tyle że dla zwykłych ludzi ważne jest nie to, co będzie w odległej przyszłości, ale to, co teraz się dzieje w ich życiu. Dobrze by było, gdyby te procesy się skonsolidowały i przyspieszyły.

– *A czy ten optymizm przenosi Pan także na projekt integracji europejskiej? Bo jednak w ramach wspólnoty narodowej istnieją mechanizmy, które ułatwiają porozumienie. Projekt integracji europejskiej z punktu widzenia Pańskiej teorii i badań nad zaufaniem jest o tyle ciekawy, że nie tylko występują tam problemy z zaufaniem między narodami, grupami regionalnymi i etnicznymi, związkami zawodowymi, ale dochodzą kwestie związane z traumą, nazwijmy ją, historyczną, w związku z renesansem pamięci zbiorowej, o czym się sporo pisze w Europie.*

– Nigdy nie byłem za wizją Europy likwidującej czy ograniczającej bardzo istotnie podziały narodowe. Widzę szansę takiej Europy, która ma pewną sferę wspólnych standardów: ekonomicznych, prawnych, instytucji, wspólnej waluty, która zresztą mi nie przeszkadza. Niemcy też z początku nie chcieli stracić marki, ale się z nią szybko pogodzili. Nie chodzi o puste symbole, tylko o pewne wspólne standardy europejskie, także standardy cywilizacyjne. Czym innym jednak jest odrębność historii. Ta przecież pozostanie. Oczywiście, demokracja ma to do

siebie, że prowadzi do kooperacji i tym samym do łamania murów historycznych. Nie jest przypadkiem, że wojny między systemami demokratycznymi są rzadkością. Jeżeli każdy kraj zachowuje swoją tożsamość, swoje trochę już wirtualne granice, to wtedy szansa tej Europy, i integracji, polega dla mnie właśnie na wymuszaniu standardów, które się ukształtowały w krajach mających demokratyczne instytucje od stu czy iluś lat. Symbolicznym wyrazem europejskiej integracji będzie dla mnie chwila, gdy zapomnimy o czymś takim, jak Europa Wschodnia. Przez cały zeszły semestr uczyłem w Instytucie Badań nad Wschodnią Europą w Sztokholmie. Kiedy po jednym z odczytów słuchacze zapytali mnie, jak widzę szanse Europy, odpowiedziałem, że widowym znakiem pięknej Europy będzie dla mnie likwidacja takich instytucji, jak ten. I w ogóle koniec myślenia o tym, że jest jakaś Europa Wschodnia – inna, gorsza, z korzeniami w głębokiej Azji. Będzie po prostu Europa. Stanie się tak wtedy, powtarzam, kiedy pojawią się wspólne standardy polityczne, gospodarcze, ale i tak prozaiczne, jak standard czystości, schludności, porządku, estetyki otoczenia. Zaufanie do demokracji pojawi się, gdy ludzie będą mieli przekonanie, że jest ona zabezpieczona. To znaczy, że nie można jej podważyć, cofnąć czy zlikwidować. Takie gwarancje występują, gdy istnieją jakieś zewnętrzne czynniki, które pozwalają ją skontrolować i skorygować. Wiemy, jakie losy spotkały eksperymenty autokratyczne w Europie, na przykład parcie do władzy partii Heidera w Austrii czy Le Pena we Francji. To, że one osłabły, było po części skutkiem presji zagranicznej. Krótko mówiąc, odpowiada mi idea Europy jako obszaru cywilizacyjnych i kulturowych standardów w polityce, ekonomii, życiu codziennym, ale nie jednego państwa.

– *Coraz więcej dyscyplin podejmuje obecnie klasyczne tematy socjologiczne – psychologia, antropologia kulturowa, ekonomia... Czy czeka nas rychły koniec socjologii jako autonomicznej dziedziny akademickiej?*

– Nie, nie czeka. Żeby nie wiem jak intensywnie te inne dziedziny sięgały po problemy, które leżały w polu zainteresowań klasycznej socjologii od XIX wieku, pozostaje jednak coś, co dla klasycznej socjologii jest fundamentem. Określił to już Arystoteles, kiedy mówił, że człowiek jest istotą społeczną. Socjologia zawsze będzie i powinna się zajmować przestrzenią międzyludzką. To znaczy siecią relacji międzyludzkich, takich jak lojalność, solidarność, współpraca, walka, współzawodnictwo, konkurencja. Jednym słowem, tych relacji, w które każdy z nas wchodzi z innymi, z jakąś zbiorowością. Nie ma ludzi samotnych, całkowicie izolowanych od społeczeństwa. Jesteśmy tym, czym nas stworzą nasze relacje. Każdy człowiek niesie w sobie tę elementarną socjologię, to znaczy sieć międzyludzkich relacji i układów. Sama geometria tych relacji i ich powiązań ma pewne prawidłowości, rzutujące zarówno na funkcjonowanie nas jako jednostek, jak i całych zbiorowości. I to jest to, czego socjologia nie odda i nie ma powodu oddawać. Socjologia jako nauka bada stawanie się społeczeństwa – w sensie tego nieustannego, płynnego formowania się różnych pól społecznych, od mikropoziomu jednostek aż po ogólny poziom podziałów, zależności międzygrupowych, relacji między segmentami społeczeństwa. Na pytanie jednak, w jakim kierunku socjologia powinna zmierzać, mam odpowiedź dosyć radykalną i różną od dominującego ciągle nurtu. Mianowicie powinna przestać wciąż traktować społeczeństwo jako coś ponad ludźmi – struktury,

systemy, makrozjawiska. Bo naprawdę społeczeństwo jest w nas, w codziennym życiu ludzi. W związku z tym główny nurt socjologii przyszłości widzę jako badanie ludzi w ich społecznym wymiarze, patrzeć na społeczeństwo nie przez pryzmat jakichś wielkich abstrakcji, ale przez pryzmat pojedynczego człowieka. W tym sensie socjologia, jak sądzę, nie straci nigdy swego przedmiotu badań. Interdyscyplinarność jest rzeczą ze wszech miar słuszną. Podział na dyscypliny jest przecież dość przypadkowy – wynikał z umów dziewiętnastowiecznego świata akademickiego. Popatrzmy chociażby na ekonomię, żeby nie sięgać daleko w historię. Długi czas ekonomia się izolowała, szła swoim torem, ale na szczęście, jak rozejrzemy się wśród ostatnich noblistów, zobaczymy, że oni są wszyscy z pogranicza, żaden nie jest typowym ekonomistą „dziewiętnastowiecznym” – jeden jest psychologiem, drugi socjologiem, trzeci informatykiem. Więc te podziały w ogóle nie mają takiego wielkiego znaczenia, jak sądzi się potocznie. Natomiast myślę, że każda dyscyplina ma swój – powiedzmy – ulubiony przedmiot. O ile dla psychologii to będzie indywidualum, jednostka, to dla socjologii – owszem, też człowiek, ale człowiek społeczny, człowiek wbudowany w coś ponad nim, w pewne relacje, w tę przestrzeń międzyludzką właśnie.

– *Z tego wynika, że dla Pana Profesora psychologizacja, ale i duchu psychologii społecznej, nie jest żadnym zagrożeniem dla socjologii.*

– Wręcz przeciwnie. Zresztą literatura, głównie światowa, ale i polska literatura przedmiotu obfituje w masę książek o przedziwnych tematach, które dawniej się nie trafiały w szerokim nurcie socjologii, na przykład: jedzenie w restauracji, rozwój fizyczny, intymność, miłość, seks, chuligaństwo na stadionach sportowych. Oto wyjęta z półki w tej chwili znakomita amerykańska książka o tym, jak taksówkarze oceniają klienta. Książka o zaufaniu, bo w Nowym Jorku wzięcie klienta do taksówki to ryzyko na miarę życia. Wkrótce ukaże się, pod moją i mojej asystentki redakcją, tom *Socjologia codzienności* – wybór 40 tekstów zagranicznych, które wyszły po roku 2000. Publikacja pokazuje najnowszy stan dyscypliny. Badanie zwykłych, codziennych sytuacji ludzi to jest dzisiaj teren dla socjologów. To nie znaczy, że starą socjologię należy odrzucić, tylko że socjologia się poszerza. Zyskuje jakąś nową perspektywę, nowy kąt widzenia.

– *Jak postrzega Pan Profesor stan polskiej socjologii, jak widzi Pan jej miejsce w świecie?*

– Zaskoczę Państwa: jest gorsze niż kiedyś, za PRL. Wtedy w oczach świata mieliśmy swego rodzaju premię – za dwie rzeczy. Po pierwsze za to, że zwłaszcza po roku 1956 w środowisku polskim rozwijana była taka wersja marksizmu, która okazała się dla uczonych na Zachodzie atrakcyjna. Marksizm był w ogóle atrakcyjny dla kręgów intelektualnych w świecie, oczywiście nie w wersji dogmatycznej, leninowskiej. Polska to jeden z nielicznych krajów, jeśli nie jedyny w naszym regionie, który do Marksa i marksizmu podchodził tak nowocześnie i otwarcie – mówiono nawet, że rewizjonistycznie. Druga nasza zaleta polegała na tym, że byliśmy pierwszym państwem bloku wschodniego, w którym szeroko podjęto normalną działalność badawczą w odniesieniu do własnego społeczeństwa. Socjologia została reaktywowana, mieliśmy najlepsze przedwojenne

tradycje socjologii, które też reaktywowano, mimo oczywiście dominacji marksizmu, zresztą często bardziej deklaratywnej aniżeli rzeczywistej. Na wszystkich uczelniach uprawiano socjologię w miarę pluralistyczną, przywrócono Ossowskiego, Malinowskiego i innych polskich myślicieli, i nawet takie odmiany marksizmu, jak myśl Krzywickiego. Kiedy polscy uczeni wyjeżdżali na światowe kongresy, mogli mówić własnym głosem, nie tylko przewodniczący miał prawo odpowiadać na pytania. To wszystko dawało nam też jakąś pewność siebie. Byliśmy widoczni. Potwierdził to, w 1966 roku, wybór Jana Szczepańskiego na prezesa Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego. Potem, w roku 1970, odbył się światowy kongres socjologiczny, który już Szczepański zorganizował. To był fenomen w świecie, polska socjologia pokazała, że jest normalna, że używa uznanych metod, a do tego jeszcze na poziomie teorii potrafi coś ciekawego dodać do marksizmu.

Otóż tej premii dziś już nie ma. Ani jednej, ani drugiej. Po 1989 roku pojawiły się w świecie wielkie oczekiwania wobec polskiej socjologii dotyczące analizy procesu transformacji ustro-

jowej i społecznej. Temu oczekiwaniu jak na razie nie sprostaliśmy. Paradoksalnie, gdy prowadzę na przykład wykłady bądź zajęcia dla obcokrajowców w Polsce, czy nawet dla polskich studentów, o socjologii transformacji, znajduję wśród lektur więcej interesujących opracowań zachodnich socjologów. Po części dlatego, że oni są z zewnątrz, ale po części dlatego, że bardziej wnikliwie się tym zajęli i po prostu napisali lepsze książki. Ten stan z kolei także wynika z dwóch powodów. Nasza perspektywa siłą rzeczy jest ograniczona, co sprawia, że pewne procesy, mimo oglądania ich z bliska, postrzega się subiektywnie, przez pryzmat własnych nadziei, politycznych afiliacji czy ideologicznych motywacji. W związku z tym obraz może być bardziej skrzywiony niż u kogoś, kto na to patrzy z zewnątrz, na chłodno. Polska socjologia straciła jednak – i to jest drugi powód – wielu swoich przedstawicieli na rzecz prac innego rodzaju. W realnym socjalizmie bycie socjologiem stanowiło pewien przywilej. To była enklawa akademicka, gdzie znajdowało się partnera do otwartej debaty, środowisko, które miało frajdę w tym, że było samodzielne. Zresztą wyłoniło się z tego środowi-

ska wielu przedstawicieli opozycji. Dziś ta atrakcyjność dyscypliny zniknęła. To znaczy socjologowie nagle znaleźli otwarte pole do angażowania się w politykę, w media, w prywatny sektor badania opinii publicznej. Różna była motywacja tego przechodzenia z dziedziny akademickiej do sektorów praktycznych zastosowań socjologii, ale skutek przyniosła taki, że odeszli oni od pracy akademickiej. Myślę, że dlatego też środowisko to mniej nowych rzeczy z siebie daje. Z kolei wielu kolegów akademicko zainteresowanych socjologią zostało przytłoczonych dydaktyką, co również nie sprzyja pisaniu dobrych, mądrych książek. Przez to wszystko straciliśmy tę wyjątkową szansę, którą mieliśmy jako socjologowie niezwykli na tle Europy Wschodniej. Staliśmy się Europejczykami, weszliśmy w inną konkurencję, do innej ligi. W lidze powiatowej byliśmy najlepsi, zwyciężaliśmy. W lidze światowej jesteśmy już normalni, to znaczy raz lepsi, raz gorsi, a czasem przegrani.

– Jest Pan drugim Polakiem – po trzydziestu latach od kadencji Jana Szczepańskiego – przewodniczącym Międzynarodowego

Stowarzyszenia Socjologicznego. Co należy robić, żeby przebić się do nauki światowej?

– Ja funkcjonuję raczej w ograniczonych kręgach naukowych. To, że jestem jakoś obecny, można tłumaczyć faktem, że osiem książek napisałem w języku angielskim i wydałem w Ameryce. Dzięki temu łatwiej weszły one do międzynarodowego odbioru, np. mój podręcznik na temat zmiany społecznej. Przede wszystkim nie może być barierą język. Znani w świecie polscy uczeni to ludzie, którzy z różnych powodów wydawali i wykładali za granicą. Mam na myśli Zygmunta Baumana czy Leszka Kołakowskiego. Socjologów z kraju odgradza od recepcji światowej najczęściej właśnie bariera językowa. Widoczna jest też w świecie pani profesor Jadwiga Staniszkis, choć nie tylko dlatego, że tam wyładała i publikowała, ale także ze względu na jej wyrazistość publicystyczną. Natomiast generalnie można powiedzieć, że warunkiem istnienia na forum międzynarodowym jest pisanie w językach kongresowych i docieranie do szerszego audytorium. □